DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 1 marca, 1888 r. — Nr. 7.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Wskazówki dla kobiet.*)

Roboty ręczne, kobiece, miały, jak narody, czasy rozkwitu i upadku. Wynoszono je do zenitu i potępiano w czambuł; wszelako zawsze istniały, bądź to, dominując nad innemi, bądź, wegetując jedynie, by ułatwić i zapełnić życie zwolenniczkom swoim.

„W ostatnich czasach — mówi Ilnicka z powodu książki Palmgrena — gdy wyższe wykształcenie kobiety stanęło na porządku dziennym wychowania, poczęły się podnosić przeciw robotom ręcznym dziewcząt zamożnych głosy luźne. Oskarżano je głównie, że wtrącają kobietę w bezmyślność i jeszcze Tańska odpowiadała, iż można przy wielu robotach takich bardzo spokojnie myśleć. Następnie z koła „entuzyastek“ podnosiła się też protestacya szczególniej przeciw tak zwanym robotom pięknym, „robotom nieużytecznym.“ — Szyć koszule, robić pończochy, a choćby, jak staropolskie matrony, prząść, to przynajmniej praca, która komuś pożytek przyniesie, ale te roboty kanwowe, przy których trzeba w ogłupiający sposób krzyżyki wciąż liczyć, te hafty bez końca, dzierzgane ząbki, koronkowe kratki!... na co komu potrzebne? — Gładki płócienny kołnierzyk, jak pasek skórzany, wszedł w modę, jako protestacya przeciw trwonieniu na haft czasu, którego można użyć lepiej na naukę, na czytanie, na oświecenie umysłu swego i innych, na zajęcie się ludem wiejskim, szkółką, ochronką.“

Hasła były szlachetne i wzruszały serca młode; to, co kiełkowało nieśmiało w niejednej piersi dziewczęcej, odważało się podnieść i zażądać prawa bytu choć w cichości tajemnicy. — Entuzyastki wraz ze swymi przyjaciołmi entuzyastami rozproszone zostały przez życie, przez fale wypadków, ale ziarno ich pojęć zostało w grunt rzucone, tradycya o nich szła, spotykało się z nią pokolenie nowe nadrastających kobiet. Chociaż społeczeństwo nasze od epoki „entuzyastek“ aż do chwili, którą dla wypukłości oznaczyćby można datą wojny krymskiej, nie zagłębiało się szczególniej w myślach, nie rozbierało kwestyi ani wychowawczych, ani społecznych, a głównie bawiło się, jednak echo głosów zamilkłych odzywało się z pewnych zagłębień dusz czujących. Starsze panie grały w karty i dzierzgały szydełkowe serwetki, młodsze tańczyły i haftowały, taki przynajmniej był na zewnątrz obraz rodziny w klasach zamożnych, lecz mężczyzni wyższego ducha, wyższych umysłów nie przestawali żądać od kobiety, aby stała się czemś innem, i wiem o małżeństwie takiem, gdzie mąż na drugi dzień po ślubie zabrał młodej żonie przysposobiony zwój batystu, prosząc, aby wybrała sobie praktyczniejsze zajęcie, „niż robienie dziurek w całości.“ Odnosiło się to do modnego wówczas haftu angielskiego i było bardzo dowcipną jego definicyą, było zarazem zwróceniem myśli kobiecej na ten tor, że jej młodej, zdrowej należy przecież podjąć jakąś rzeczywistą, cel mającą pracę. Radzący to nie mylił się zatem co do moralnej wartości rady swojej, a jako człowiek poważny i rozumny, żądając od towarzyszki życia, aby i ona stanęła na gruncie poważnie pojętego istnienia, zbadał usposobienie jej i siły, dając w miejsce skonfiskowanego batystu klucz od biblioteki. I dobrze wybrał, bo chęci i skłonności były po temu.

Ale nie we wszystkich rodzinach rzecz odbywała się z podobną rozwagą i namysłem rozumnym. Zwolna zdyskredytowano roboty ręczne i zarzucono je, nie biorąc się do rzeczy pożytecznych — mówiono, iż fabryka dostarcza ich taniej. „Matki, które słyszały nawoływania, aby córka uczyła się więcej, które widziały przytem, że na targu świata, na targu próżności niewiele już popłacają pajęcze siatki, szydełkiem snute i haftowanie falbanek w ząbki, nie przyuczały do tego córek.“ — Zapomniano zwrócić uwagę, że rodzina nie potrzebuje konkurować z maszyną — kobieta zapragnęła podnieść się, otrząsnąć z trudu, którego owoce były tak liche, że uważano je za nic.

Usunięcie pracy ręcznej kobiecej przyniosło pewną ujmę majątkowi rodziny. Albo trzeba było na czemś innem oszczędność zrobić, coś nieraz ważnego poświęcić, albo więcej wydać, mniej złożyć, jednem słowem zubożeć w kierunku jakimś. Przytem robota domowa, prostsza, nie prowadziła do zbytku i pragnienia nowości, jakie dziś panują. Odważne powrócenie kobiety do dawniejszego sposobu prowadzenia domu, podjęcie w rodzinach zarzuconej pracy ręcznej, a głównie szycia, przyrządzania odzieży dla dzieci i kobiet stanowiłoby nietylko ważną rubrykę oszczędności, ale sprowadziłoby zwrot ku prostocie, przeciwstawiłoby się

*) Pod takim napisem drukowaliśmy w I roczniku „Tygodnika bel. i nauk.“ (wydawnictwo p. Fr. Chocieszyńskiego) tej samej Autorki szereg artykułów, które — o ile wiemy — Czytelniczkom „Tygodnika“ ogólnie się podobały; nie wątpimy przeto że i rozpoczęty niejako ciąg dalszy „Wskazówek.“ których Szan. Autorka najlepszemi owiana jest chęciami — pozyska zwolenniczki wśród Czytelniczek „Domu polskiego.“
(Przyp. redakcyi.)

temu wykwintnemu wyszukaniu i zbytkowi, który dziś uboży rodziny moralnie i materyalnie. Przemysł produkować może doskonalej, ale rodzina produkuje taniej dla siebie.

Zdaniem naszem — produkcyjna praca w każdym domu pierwsze miejsce zajmować powinna, ale osoby, które los lepiej uposażył, sporządzanie odzieży mogą powierzyć pracującym ręcznie na chleb powszedni, pozostawiając dla siebie drobne robótki, dzierzgania, hafty, frywolitki i t. p. pomimo protestacyi Endymiona („Ofiara i sumienie" Korzeniowskiego), który woła: „Przeklinam wynalazcę tej nieznośnej roboty (na kanwie) za to, że nam odbiera promienie waszego oka, że nam nie daje dotknąć waszej ręki, uzbrojonej igłą, że was zmusza rachować i zamiast słodkiego słowa, coby napełniło duszę, kładzie na język wasz liczby, które zawsze i wszędzie zabijają uczucie."

Robótki owe wielką odgrywały rolę w życiu prababek naszych. Królowe, magnatki i zwykłe szlachcianki, nie umiejąc pisać, wszystkie bez wyjątku poświęcały czas wolny haftom prześlicznym. Znane są ornaty, haftowane przez królową Jadwigę w Krakowie i Częstochowie i wszędzie nieomal w każdym kościele znajdzie się jeszcze jakiś cenny zabytek, świadczący o zamiłowaniu tamtej epoki. — Jeden z romansopisarzy, zwiedzając sklep z ciekawemi zabytkami starożytnemi, spotkał tam szczątek podobny, mówi więc: „Obok znajdowała się zaczęta, nigdy nieskończona robota nieszczęśliwej królowej, Maryi Antoniny; oparcie jednego z owych mebli, jakie do swego uroczego, słodko-wonnego, z wyrafinowanym smakiem urządzonego gniazdka w Trianon lubiła sama sporządzać — smutny, wyblakły haft z swobodnych dni wesołej księżniczki, która za śmiech swój życiem zapłacić musiała! — Jakież myśli przychodziły jej wówczas do głowy, gdy delikatnemi paluszkami pstry jedwab przez płową materyą przeciągała? Na złotych arabeskach kołysały się rajskie ptaszki — purpurowe motyle fruwały w powietrzu, a masa róż bogatemi zwojami otaczała złoconą kratę. Wpośród tych ram fantastycznych uśmiechało się ciemno-błękitne falami jezioro z różowym, ubranym kwiatami bacikiem. Siedziała w nim piękna pani w najponętniejszym rococo-stroju, mając dumny, śmiały uśmiech na ustach, pióra we włosach i wstążeczkę pąsową na szyi w tem właśnie miejscu, które kat nożem gilotyny miał przeciąć. Obok niej Apollo z lirą ją opiewał, Jupiter jej strzegł, u nóg Mars klęczący ją kochał, a nad nią podobny do bujającego motyla unosił się na tle lazurowem Kupido z łukiem naciągniętym; błyszcząca strzała świsnęła: czyż serce jej zostało ukłute? Jakież marzenia, lub niewypowiedziane uczucia tkała piękna królowa w tym pełnym życia obrazie? Czyjeż rysy nadała klęczącemu rycerzowi? Nagle urwała się robota — ostatnia nitka jedwabiu zblakła, wisząc luźno wśród niedokończonej całości, wpośród chwiejącej się róży krwawo-czerwonego koloru. Czyż rozszalały huragan wściekłej rewolucyi, lub spojrzenie w psujący się świat tę robotę, to kwitnące szczęście miłości i życie samo zarazem do nagłego, okropnego końca przywiodły?"

Za granicą mniej zamożne rodziny, u których nie ma wiele sukien i bielizny do szycia, a kobiecych rąk jest dosyć, zbywają korzystnie owe „bawidełka." W tym celu pani Klara Kiefer z Berlina w Nr. 21-ym „Bazaru" z 1 listopada 1885 oznajmia: „wszystkim paniom, które się robotami ręcznemi zajmują, iż odtąd roboty te, z trudem i zręcznością wykonane, mogą spieniężyć; wszedł bowiem w życie handel, gdzie codziennie wszystkie kobiece roboty przyjmuje się do sprzedania, a ktorego głównem zadaniem jest podniesienie tych robót. W eleganckiem miejscu w najbardziej eleganckiej części Berlina powierzone roboty są wystawione na sprzedaż, nie przyczyniając zupełnie kosztów właścicielkom. Przyjmuje się: białe hafty, bieliznę, wełniane i fantastyczne artykuły, szydełkowe roboty, malowidła, słowem wszystko, co wchodzi w zakres zajęć kobiecych. Panie same oznaczyć mają cenę za swoje prace, również służy im prawo wycofania przedmiotu, jeśli zbyt długo leży na składzie. O sprzedaży donosi im się natychmiast. Nowe przedsięwzięcie znalazło uznanie w wysokich sferach i wzbudziło żywy interes współuczestniczących — ogólne pragnienie jest, aby umożebnić paniom najmniejsze prace korzystnie spieniężyć. — Przeto uprasza się szanowne robotnice, które z wystawą chcą wejść w bliższe stosunki, o nadsełanie ofert, jako też gotowych przedmiotów, ponieważ popyt przed świętami jest największy. Roboty przyjmuje, ręcząc za najstaranniejszą opiekę nad niemi: *Klara Kiefer, Berlin W. Link-Strasse 5, I. Treppe.*"

Podobne przedsięwzięcie u nas byłoby nader pożądanem. Niestety! nic o niem powiedzieć nie możemy. Są wprawdzie panie, dostarczające robótek sklepom, jak i szyjące bieliznę, ale tu trzeba protekcyi, znajomości, szczęścia — osoby nieznane niechaj się o to nie kuszą*). Było dawniej zwyczajem, iż zamożniejsze kobiety z własnych funduszów, lub składek zebranych zakupywały materyał, jak: kanwę, włóczki, perkal, bawełnę i t. p., układały robotę i rozdawały ją między znajome, jako dywan, lub ornat do kościoła. Z zbiorowej pracy wyrastały nieraz prześliczne dzieła. Obecnie o tem w szerszym zakresie nie słychać. Inicyatorki dobroczynnych celów nakładają dziś wkładkę na członków swoich drobną, nieznaczną, np. 10 kr. miesięcznie. Dla osób majętnych istotnie to bagatela, ale dla takich, które i 10 kr. nie posiadają, które nie biorą pensyi, nie mają zapewnionego bytu — a jest tych bardzo dużo — drobnostka owa wprost jest niemożliwą. Zmienione zwyczaje w jednym kierunku powinny zmienić się i w innym. — Dla czegoż zmiana ma być na gorsze? Czyż więc sklep z robotami kobiecemi pod kierownictwem filantropek zamożnych, gdzie elegantki zaopatrywałyby się w potrzebne artykuły, nie miałby racyi bytu?

Niechajby tam były suknie i bielizna — ale ze względu, iż nie wszystkie kobiety mają zdatność do krawiectwa, niech będą drobne robótki różnego rodzaju i smaku, z mniejszą, lub większą zręcznością wykonane, byle grosz przyniosły.

Jest to jedynie projekt niełatwy do wykonania na naszej niwie, nie wynika też stąd bynajmniej, abyśmy robótkom drobnym nadawali pierwszeństwo, wliczamy je tylko do zajęć kobiecych, a jako przeciwstawienie nudom i gorszym jeszcze ewentualnościom, pochwalamy je. „Od lat dwudziestu nastąpił niesłychany zwrot i rozwój w zakresie robót kobiecych — pisze sprawozdawca z wystawy prac kobiecych w Wiedniu 1886 r. — Robota mechaniczna, szablonowa stała się pracą uduchowioną, owianą artyzmem. Zaczęto studyować wszelkie techniczne sposoby, przemysł domowy na wschodzie i zachodzie, zaczęto badać historyą sztuki, gustu, harmonią barw, pojawiły się nauczycielki nowej nauki i sztuki, które mają za zadanie budzić zmysł piękna, podnosić poezyą domowego ogniska, zapełniając je utworami dobrego smaku i zręczności poprawnej pod względem kolorytu i rysunku. Powstały wreszcie szkoły fachowe, które szerzą zamiłowanie do tych prac, otwierają setkom kobiet źródło przyjemności i zarobku nader właściwego. Widzieliśmy więc na wystawie okazy pracy — centralnej koronkarskiej, szkoły haftu artystycznego pani Bach, szkół stowarzyszenia zarobkowego kobiet, stowarzyszenia ku wspieraniu dziewcząt, widzieliśmy wyroby wschodnie i węgierskie. Węgierki wzięły się poważnie do podniesienia przemysłu domowego ludu; widzieliśmy wszelkie rodzaje i gusta, a między innemi i hafty Rusinek perłowe z Galicyi; wiele prac tak zwanych „prywatnych pań," które dla domu, lub kościoła pracują; z Zagrzebia śliczne ornaty i chorągwie, mnóstwo okazów ze Śląska i z Morawii, wszelkie możliwe pomysły techniki, praktyczne i fantazyjne, białe, kolorowe i złote, hafty i malowidła igiełkowe farbami na atłasie. Pani Habilka przedstawiła w okazach historyą robót kobiecych. Okazuje się z niej, że od roku 1860 do 1865 hołdowano tapiseryom i robotom strzyżonym, pluszowym, od 1865 do 1870 lubiono haftować go-

*) W Krakowie otwarty sklep z przedmiotami pracy kobiecej znany jest zaledwie najbliższym producentkom i wiele pozostawia do życzenia.

beliny, à petit point, pojawiły się też trudne, a niewdzięfrivolitki. Od r. 1870 do 1875 panują kwiaty ze skóry, imitacye wschodnie, mozaiki leśne, nakrapiane; potem przez dwa lata aplikacye kretonowe, a od roku 1875 działa już wpływ szkół; point-lacé, filet-guipure, technika holbeinowska, ścieg krzyżowy, staro-niemieckie hafty na płotnie. Więc i w tym zakresie obok gustu rządzi moda, a prace antiques zawsze są modne. Roboty z przed lat dwudziestu są w obec dzisiajszych naiwne, nieudolne, ciężkie, surowe. Kto chce z temi rzeczami zapoznać się dokładnie, o ile w Austryi się rozwinęły, może się posłużyć przewodnikiem, wydanym dla tej wystawy, a ułożonym przez J. Falke, Emilią Bach i Teresę Mirami. Postęp w tych pracach jest tak ogromny, jak w wyrobach ze szkła."

(Ciąg dalszy nastąpi).

OSTATNI KWIATEK.

Na ciernistym krzewie zakwitnęły róże,
Zdala od drożyny i zdala od chatek;
Smutno więdły listki, resztę zwiały burze,
Na ciernistym krzewie jeden został kwiatek.

I przyszła dziewczyna gdzieś od cudzych chatek,
I samotną różę na krzewie ujrzała:
— Nie zrywaj! — „Nie zrywać?... wszak to pierwszy kwiatek,
Jaki zrywam w życiu!"... i różę zerwała.

— Zerwałaś mój kwiatek, choć prosił głos bratni,
Pamiętaj, o! dziewczę, przechować go wiernie,
On pierwszy dla ciebie, lecz dla mnie.... ostatni,
A gdy go utracę, zostaną mi — ciernie!

* *

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

— Czy miłość jest czem innem, jak *idée fixe* serca? zaśmiała się pani Leskjewitz, a *idée fixe* jest chorobą; ma się cierpliwość, dopóki trwa, ale kiedy przeszła, trzeba Bogu dziękować, że szał minął i otrząsnąć się starannie z jego resztek. Tyś tego nie zrobił, Janie! Tyś był, jak owe czczone piękności, które nie mogą przenieść na sobie, ażeby zniszczyć stare balowe suknie i inne trofea byłych tryumfów. Zapychają niemi szuflady, tak, że na porządną bieliznę już nie ma miejsca. Precz ze śmieciami! — im prędzej, tem lepiej!

— To, co kochałem, zawsze świętem dla mnie będzie — odparł rotmistrz uroczyście.

— Skutkiem czego, całe życie włóczysz z sobą stare zakurzone mrzonki i nie wiem doprawdy, jak ci jeszcze sił starczy na inne silniejsze uczucia. Chociaż to boli, ale trzeba je pogrzebać we właściwym czasie!

— Ja wolę je zabalsamować, odparł rotmistrz z tłumionym gniewem.

— Winszuję ci tego zbioru mumii.

— Nie masz żadnego nabożeństwa dla pamiątek przeszłości, zatwierdził mąż.

— Bo nie mogę pojąć, jak można *ad infinitum* wywodzić żale nad minionym szałem — ha! to śmieszne doprawdy.

— Nie sprzeczajcie się, gołąbki, prosiła Stazya, składając po dziecinnemu rączki.

— Ani nam się nie śni, zapewniła ją z uśmiechem pani domu — nie sprzeczamy się nigdy. Cierpimy tylko oboje na nieuleczalną różnicę zdań i poglądów. Ale o czem właściwie była mowa?

— O iluzyach, odparł Rohritz. —

— Ach! mniejsza zresztą o to, był to tylko prolog, mówiła pani Leskjewitz zamyślona; co było jednak powodem naszej rozprawy? prawda, chodziło przecież o moję siostrzenicę.

— Zechcesz nam może pokazać jej fotografią? prosiła Anastazya.

— I owszem — zaraz.

I z całą żywością i energią zaczęła przewracać w złoconym domku, byłej bombonierce, obecnie do przechowywania fotografii służącej. Ale napróżno! a przy bliższem poszukiwaniu okazało się, że kilkunastu fotografii brakło. Mały Freddy wyznał z upokorzeniem, że je wszystkie porozcinał na wązkie paseczki. Matka zaśmiała się, ucałowała zasmucone oczy jedynaka i wysłała go do łóżka.

Pozostawiono więc fantazyi barona Rohritza wystawić sobie najmożliwiej trafny portret baronówny, Stelli Meineck.

ROZDZIAŁ II.

Stazya tyle złego o Stelli mówiła, że mimowoli Rohritz zaczął o niej myśleć wprost przeciwnie. Późno już było, kiedy, leżąc w łóżku, napróżno starał się zająć umysł powieścią Tauchnitza; bezwiednie prawie myśl jego nią się zajmowała.

— Biedne dziecko, mówił sam do siebie; musi jednakże być sympatyczna, w przeciwnym razie ani Leskjewitz, ani jego żona nie lubiliby jej tak bardzo. I na czem zasadza się ta złośliwość, z jaką ta jadowita stara panna o niej opowiadała? czy na tem, że ma antypatyą do oficerów od piechoty? — Rohritz, który służył niegdyś w konnicy, wzruszył na tę słabostkę pobłażliwie ramionami.

— Czy na tem, że chce występować na scenie?.... to mi się wprawdzie nie podoba, bo nic dla mnie wstrętniejszego, jak z dobrego domu panna, chcąca zostać aktorką.

Rohritz przypomniał sobie w tej chwili córkę pewnego oficera, którą poznał na jakimś wieczorze. Chcąc zebranym gościom okazać wybitny swój talent, deklamowała: „Modlitwę dziecka" i „Co to za rozkosz zostać aktorką!"

Rohritz wyszydził urojone jej zdolności, a ją samą nazwał: „histeryczną żabką"; nazwa ta znalazła ogólną aprobatę.

Wspomnienie tej chudej córki oficera prześladowało go dzisiaj, jak zmora.

— Gdyby Stella miała choć trochę być do tamtej podobną, to nie wytrzymałbym tu długo, mówił, otrząsając się. W każdym razie żałuję, że nasze przyjemne życie się skończyło. Nudny smakosz i stara piękność są nieznośni, ale można ich ignorować; podczas kiedy młodej panny, krewnej pana domu, nie godzi się zaniedbywać.

— Ba! przecież w ostateczności mogę wyjechać, dodał, gasząc świecę.

Co mu się w tym monotonnym, mało zajmującym pobycie w willi Erlach podobało, trudno zaprawdę odgadnąć. Może cenił go dla tego tak bardzo, że przypominało mu *dolce farniente*, do którego przywykł podczas po-

bytu swego w Ameryce, a od czego przez dziesięć lat pobytu na stałym lądzie odzwyczaić się nie mógł. Natura jego była elegancko-apatyczną i na wskroś obojętną; należał do tych ludzi, którzy nie tęsknią i nie starają się o rozrywki; zadowoleni ze siebie, z litością, z góry spoglądają na tych, którzy na tym świecie czemś kłopotać, lub czemś bawić się mogą. Szczycił się tym moralnym letargiem, który powoli uśpił szlachetne i wzniosłe przymioty jego charakteru.

— Szkoda tego człowieka, mawiał często Leskjewitz, któremu krew z młodzieńczą żywością w żyłach płynęła i który twierdził, że przez całe życie nie zaznał, co nuda, z wyjątkiem kilku godzin podczas ciemnej dżdżystej nocy, kiedy, spoźniwszy się na pociąg, musiał na małej stacyi kolejowej oczekiwać nadejścia drugiego pociągu. Ale poczciwy rotmistrz był przecież na wpół dzikim człowiekiem, a jednak miał słuszność, mówiąc: „Szkoda tego człowieka, tak jest, szkoda go!“ Ktożby myślał, że ten dzisiajszy Edgar von Rohritz (matka jego nadała mu to imie na pamiątkę ulubieńców swych, Walter Scotta i Donizettego) młodym jeszcze będąc, zawsze pod pańską maską obojętności więcej miał poetycznego u posobienia, niż jego towarzysz broni, Jan von Leskjewitz. Ale z poezyą jego smutnie się skończyło. Doznawszy bolesnego zawodu, uleczył się wcześnie z marzeń i złudzeń, i serce swoje zamknąwszy, miłości doń na zawsze wzbronił przystępu.

Przed dwudziestu laty zaczął karyerę wojskową w tym samym, co i Leskjewitz pułku. W pięć lat potem wziął dymisyą i wybrał się w podroż około świata, chcąc się uleczyć nietylko z sercowych, ale i z fizycznych cierpień, szukając zmiany pobytu i powietrza. Obecnie od kilku lat zamieszkiwał miasto Grac, skąd często do Wiednia wyjeżdżał. W towarzystwach bywał bardzo mało, z nikim bliższych nie zawięzując stosunków. Na balach grywał w wista, nie tańczył nigdy, kontentując się krytykowaniem ubrania i figury tancerek. Uchodził w ogóle za nieprzyjaciela kobiet, co szczególniej młode mężatki znajdowały interesującem. Pod każdym względem uważany za najlepszą partyą miasta Grac, wystawiony był na prawdziwe prześladowanie ze strony matek, mających córki na wydaniu.

Znudzony po części niezasłużonemi względami, usuwał się coraz więcej od stosunków ze światem; kiedy nagle rozszła się wiadomość, że przez nierząd stracił prawie cały swój majątek; nic nieznacząca resztka pozostała mu na bardzo skromne utrzymanie. On sam nie zaprzeczał temu, wiadomość więc musiała być prawdziwą. Matki dorosłych córek odkryły teraz jednocześnie, że, jak na męża, posiadał bazdzo nieprzyjemny i trudny do prowadzenia charakter. W tydzień po tej smutnej wiadomości sprawdził ze szczególniejszym uśmiechem, że w tym przeciągu czasu odebrał z pół tuzina mniej zaproszeń na bale, obiady i wieczory, niż zazwyczaj. Spotkawszy się na ulicy z jednym ze swych przyjacioł, na szczerą jego kondolencyą odpowiedział, pokręcając wąsy:

— Nie kłopoc się o mnie, mój drogi, zapewniam cię, że pod wielu względami jest to bardzo przyjemnie utracić majątek.

Wiadomość o nagłej zmianie jego stosunków dotarła i do cichej willi Erlach; rotmistrz Leskjewitz, który ją w liście dawnego swego przyjaciela, jako *post scriptum*, wyczytał, popadł w nadzwyczajne rozdrażnienie.

Z otwartym listem w ręku wpadł do pokoju żony.

— Katty .... czytaj, Rohritz utracił cały swój majątek, sądzę, że byłoby mu może przyjemnie usunąć się chwilowo z dawniejszych stosunków. Musimy go natychmiast zaprosić, naturalnie, jeżeli ci to nie będzie nieprzyjemnem.

Dziwnym wypadkiem zdania tej niezgodnej pary zjednoczyły się w tym względzie najzupełniej.

— Bardzo mi będzie miło widzieć go w naszym domu, odparła pani Leskjewitz; zaproś go, jeśli się, naturalnie, nie obawiasz, żeby mnie bałamucił. Rotmistrz wykrzywił usta.

— Że się drugim bałamucić nie pozwolisz, tego najzupełniej pewien jestem, zamruczał; ujemną stroną twego charakteru jest, że nawet mnie od siebie odpychasz, nie przyjmując najmniejszej pieszczoty.

— Raz na zawsze mam wstręt do odgrzewanej kapusty, odparła, marszcząc brwi. Rotmistrz skorzystał ze sposobności, żeby wybuchnąć gniewem.

— Nie możesz przecież wymagać, abyś była pierwszą kobietą w której hm... dojrzałem, że ma ładne oczy....

Ale dnia tego właśnie Katty po uszy zagłębiona była w rachunkach gospodarskich, nie miała więc ani czasu, ani ochoty do sprzeczki, która w innych okolicznościach byłaby najmilszą jej rozrywką.

— Nie irytuj się, mój drogi, odparła, idź, napisz ładny list do Rohritza i spiesz się, o ile możności, aby mógł odejść dzisiajszą wieczorną pocztą.

Czy ci mam pomodz napisać go?

— Dziękuję, sam to zrobić potrafię, odparł, wychodząc z pokoju. Mój Boże, co też ja upokorzeń znieść muszę z powodu uczonej żony, dokończył z uśmiechem za drzwiami.

— Uprzedzam cię raz jeszcze, zawołała nań pani, że mam słabość dla Rohritza, ale rób, jak chcesz, to już nie moja rzecz i to mówiąc, zaśmiała się wesoło.

— Waryatka, mruknął rotmistrz, siadając przy biórku; westchnął i potarł ręką czoło, bo niełatwą dla exkawalerzysty rzeczą było napisanie czterostronnego listu, z czego się jednak chlubnie wywiązał.

List przyjaciela zrobił na Rohritzu dziwnie przyjejemne wrażenie; był tak serdecznym, tak szczerze go żałującym, tak innym, niż wszystkie sztuczne ubolewania, że bez wahania przyjął zaproszenie i w tydzień po odebraniu listu przybył do willi Erlach. Bawił tam już od miesiąca; czas schodził mu nadzwyczaj przyjemnie, szczególniej pierwsze tygodnie sam na sam z Leskjewitzami. Przyjazd Stazyi i generała przed trzema dniami dotknął go trochę nieprzyjemnie, wiadomość o nowym zastępie gości jeszcze więcej go rozdraźniła.

Mój Boże! znowu matka, znowu córka — czyż na szerokim świecie nie będzie mógł się uchronić od spotykania się z niemi?...

ROZDZIAŁ III.

Telegram oznajmił ostatecznie przybycie Meineckόw tegoż dnia o godzinie 10tej, minut 35 przed południem, do Hradnik, najbliższej stacyi kolei żelaznej o kilka wiorst od willi Erlach odległej. Było już blizko południa. Rotmistrz z Fredziem pojechali po gości na stacyą, a reszta towarzystwa zgromadziła się na tarasie przed jadalnym pokojem. Pani domu, ubrana z iście purytańską prostotą, w kostyum z szarego płótna, wyglądający czysto i pachnący lawendą, siedzi w wielkiem, ogrodowem krześle, zajęta szydełkową robotą, białą w czerwone pasy kołderką, przeznaczoną zapewne na łóżeczko jedynaka. Generał w młodzieńczym kapeluszu z dużem zakrzywionem piórem na głowie cieszy się dowcipem czytanej właśnie książki. Anastazya, kręcąc się od jednej do drugiej osoby, wystawia sobie, że przypomina pasterkę à la Vatteau, myli się jednak okropnie. Ma nieznośne i smutne przyzwyczajenie ubierać się na wsi, przy dziennem świetle, w stare, balowe suknie. Dziś na przybycie gości włożyła spłowiałą, pomiętą, blado-niebieską jedwabną suknię z obszarpanemi koronkami, i dziwi się, że smutna ta toaleta nie wywołuje zachwytu w obecnych.

— Nieprawdaż, że tu dosyć przyjemnie czas schodzi? odzywa się pani Leskjewitz, podnosząc od roboty oczy w kierunku Rohritza, opartego o poręcz tarasu.

— O ile możności, przedstawiam mojemu mężowi ciągle, żeby wziął dymisyą i stale się tu osiedlił. Dotąd waha się jeszcze.

— Hm... czy nie sądzisz, pani, że dla człowieka

z jego usposobieniem pobyt w Erlach byłby trochę za jednostajny?

— Może się przecież zająć, odparła Katty, wzruszając ramionami.

— Jeżeli się nie mylę, to gospodarstwo na tym majątku jest wydzierżawione?

— Bogu dzięki! odparła z uśmiechem pani Leskjewitz, dla praktykujących gospodarstwo zbyt kosztowną jest rozrywką i próbą. Ale mąż mój ma przecież las i winnice do rozporządzania, z tem miałby dosyć zajęcia, a zresztą lubi namiętnie konną jazdę, może więc ujeżdżać młode konie, ma tu wyborną do tego sposobność. Rohritz milczy i zamyślony strząsa popiół cygara długim paznogciem małego palca. Musi przyznać, że Katty Leskjewitz tak przykładna, jako matka, jako żona nie jest bez winy. Trzydziesto-ośmioletniemu człowiekowi przedstawia sposób przepędzenia czasu, jakim 80 starzec zaledwieby się zadowolił.

— Szkoda jego przeszłości, odzywa się po chwili Rohritz, tem więcej, że tak świetnie zdał przeszłego roku swoje oficerskie examina...

— Tak jest, posiada ogromne zdolności, czegoby nikt nie przypuszczał. Nauką nie męczył się nigdy zbytecznie, o czem ja najlepiéj sądzić mogę: nie powtarzałam z nim niczego nawet, jak to robiła żona nieszczęśliwego jakiegoś porucznika, przechodząca z mężem wszystkie naukowe studya.

Usta Katty uśmiechają się wesoło.

— Czy wiesz pan, jaki był koniec tych obustronnych usiłowań? We dwa tygodnie po zdanym examinie biedny człowiek od wysiłku umysłowego zwaryował! Oprócz niego siedmiu towarzyszy mego męża, składających równocześnie examin, dostało pomieszania zmysłów. Jakież to zakute głowy znajdują się na świecie, mąż mój na szczęście do tych nie należy. W wojsku służy jedynie z amatorstwa, bo nie posiada, niestety! ani odrobiny ambicyi.

Powyższe słowa wypowiedziane zostały z największą obojętnością.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO."

Zpoza kordonu.

Zbliżająca się wiosna wzbudza corocznie tajemne dreszcze, wywołane obawą i nadzieją wojny. Rok 1888 nie mniej od poprzedników swoich jest podbudzający, a choć ogłoszenie traktatu między Niemcami i Austryą, chociaż mowa ks. Bismarka powinnyby raczej zażegnać burzę, to przecież przyszłość kryje często niespodzianki i ręczyć za nic nie można.

Losy narodów zmieniają się prawie równie szybko, jak losy jednostek, te same uszy, które słyszały mowę Mikołaja I: „Korzcie się narody, bo Bóg z nami," słyszą dzisiaj podobne wyrazy z ust innych, przyjęte przez harde niegdyś mocarstwo z pokorą, w poczuciu braku sił do walki i do zwycięztwa.

Sit transit gloria mundi.

Owe przeczucia zmian gwałtownych a ważnych nie zepsuły bynajmniej karnawału. Już to poczciwy ludek warszawski bawić się umie we wszystkich okolicznościach na zabój. Nigdy bale nie bywały tak tłumne, jak w ubiegłym karnawale, biletów wejściowych zwykle zabrakło, a z powodu ciasnoty tańczyć swobodnie nie było można. Tańczono na korzyść „Przytuliska," „Szpitala dziecinnego," „Szwalni," oprócz tego różne stowarzyszenia organizowały bale, nawet cechy rzemieślnicze. Balowanie zstępuje coraz niżej i spotyka się z szynkownianą zabawą nareszcie.

Werwa karnawałowa zaostrza także zazwyczaj pióra dziennikarzy, przycinki wzajemne wsuwają się do wszystkich kroniczek i pogadanek tygodniowych, wsuwają się tam takie epiteta, jak: „szubrawiec fachowy," „kamienne naczynie," nakoniec przychodzi do gróźb kijami, a wiadomo, że nie kończą się na samych groźbach takie sprawy.

Konserwatyści wyzywają na pojedynki, kończące się zawsze rozlaniem szampana, a postępowi, przeciwnicy „sądów bożych," biorą się naprawdę do kija.

Smutnym wypadkiem ostatnich czasów jest zwalenie testamentu św. p. Sierakowskiej przez krewnych. Takie nieposzanowanie woli umierającej, takie okradzenie nędzarzy z grosza, ofiarowanego przez dobroczyńców, jest niezaprzeczenie czynem godnym potępienia, a za mało potępianym przez społeczeństwo. Instytucya założona, lub istniejąca rozszerzona dałaby przytułek tysiącom kalek nieszczęśliwych, albo dałaby naukę i umiejętność pracy tysiącom jednostek. Każda instytucya filantropijna jest bogactwem społeczeństwa, społeczeństwo zatem powinno karać surowo tych, którzy wydzierają mu samowolnie owę własność, owo dobro.

Ślimacze ruchy waszego „Banku ratunkowego," jako też i pogłoski o jego likwidacyi przedwczesnej zabijają słabe sympatye dla tej instytucyi u nas. Nikt teraz nie chce dać grosza w oczekiwaniu rozstrzygnięcia rzeczy. Rozeszły się wieści, że w Genewie ma się otworzyć nowy bank, w tymże celu zawiązany, a wszystkie te okoliczności nie oddziałują korzystnie na najważniejszą sprawę bieżącą, na ratowanie ziemi, usuwającej się z pod stóp waszych. Straciliście sami w siebie wiarę, nic dziwnego, że nikt w was wiary także nie pokłada. Doprawdy — żółć zalewa serce i gorycz ciśnie się pod pióro, gdy się pomyśli o tem wszystkiem.

Od spraw społecznych tak bolesnych, tak przygnębiających, myśl chętnie przenosi się w dziedzinę szerszą, na niwę literacką, aby tam poszukać wytchnienia.

Oto wyszła świeżo z pod prasy warta przeczytania książka p. n. „Typy i ideały pozytywnej beletrystyki polskiej" przez Teodora Jeske-Choińskiego.

Autor przedstawia w niej ideały tegoczesnych pisarzy polskich, wykształconych pod wpływem prądów tak zwanego „pozytywizmu warszawskiego," jako też typy bohaterow, odgrywających główne role w beletrystyce.

Na czele stoi tu (bardzo słusznie) pani Eliza Orzeszkowa. Szczera to, utalentowana i sympatyczna adeptka liberalizmu zachodniego. Bohaterowie jej są inżynierami, ludźmi pracy, a ideałem życia dobrobyt.

Cała gorycz satyrycznego pióra autorki spada na idealistów poczciwych, kochanych, ale niedbałych o byt materyalny; na kobiety pobożne, rozmarzone, bezczynne. Krytyk przyznaje p. Orzeszkowej myśl poważną, zwróconą zawsze na dobro społeczeństwa, ale czyni zarazem uwagę, że talent spostrzegawczy staje często na poprzek jej teoryom, a typy, wprowadzone na scenę akcyi powieściowej, dowodzą czego innego, niż wygłaszane sentencyonalnie zasady. Autorka „Meira Ezofowicza" n. p. w książce „O żydach" jest zwolenniczką teoryi asymilacyi żywiołu semickiego z słowiańskim, tymczasem żydzi w jej powieściach bywają podłymi oszustami, wyzyskiwaczami ludności chrześciańskiej, ciemnymi fanatykami, słowem — są żywiołem niemożebnym do asymilacyi.

Żydzi liberalni zaś tejże autorki są żywem zaprzeczeniem teoryi nauczającej, że jedynie wiedza uszlachetnia człowieka, bo obok wykształcenia są moralnie brudni. Abramek, syn Makowera, wyszedł z giminazyum potworem, dla którego nie ma nic świętego, p. Witebska, cywilizowana dama, jest śmieszną papugą, a syn jej Leopold stoi niżej moralnie od ciemnych mas.

Lucya Otocka i Julek Różyński w „Widmach" zbijają również tezę, że oświata może ludzkość uszczęśliwić, bo oboje struli się wiedzą, a w końcu sama pani Orzesz-

kowa wypowiada: „Na nieszczęście o doli i niedoli jednostki nie sam tylko rozum stanowi, lecz wpływają też na nie uczucia, przywyknienia i przesądy.“ Wartoż było 29 tomów napisać, aby wrócić do starej prawdy? woła Jeske-Choiński. Cóż więc jest przyczyną owej niezgody wysnuwanych teoryi z akcyą powieściową? zadaje jeszcze pytanie krytyk i odpowiada: Oto artyzm! — Publicysta nieraz musi kruszyć kopie w sprawie, o której jednolitości nie jest przekonany, artysta zaś patrzy na życie, i, co widzi, odtwarza.

P. Orzeszkowa, przydaje on w końcu, nie wypowiadziała jeszcze ostatniego słowa, a można zaznaczyć, że z chwilą, gdy zaczęła tworzyć podmiotowo, co nastąpiło bardzo późno, ostygła w zapale do haseł liberalnych, nie przestała być wolnomyślną mecenaską nauki, ale straciła wiarę w środki, które za jedyne i niezawodne podawała.

Za p. Elizą Orzeszkową postępuje p. W a l e r y a M a r r e n o w a. Ogłasza się ona sama za pozytywistkę w artykułach dziennikarskich, w krytykach literackich przyklaskuje z zapałem ideałom liberalizmu. Emancypacya kobiet w jak najszerszych granicach jest sprawą gorąco przez nią popieraną, lecz w powieściach swych wzięła w obronę prawa serca i namiętności miłosne. Kobiety jej, zakochane do szału, pomiatają wszelkiemi przepisami etycznemi, rozrywają związki sakramentalne, depcą obowiązki rodzinne i w końcu giną pod zwaliskami szczęścia, zburzonego własnemi rękami. Autorka nie ma zamiaru propagować rozwodów, lub związków niestosownych, ale otacza swe kobiety rozkochane aureolą męczeństwa, i w czytelnikach budzi żal do społeczeństwa, nieumiejącego uszanować głosu natury.

„Marrenowa — pisze Jeske-Choiński — porusza się swobodnie tylko między ludźmi dobrze wychowanymi; tam, gdzie chce naśladować Orzeszkową, traci pewność rysunku. Nie odznacza się łaskawością względem mężczyzn, w powieściach jej wraca uparcie jeden typ, nieprzynoszący nikomu zaszczytu. Słabi to jegomoście bez woli i siły, niezdolni do życia twardszego; co „towarzystwo“ uznało za „przyzwoite,“ jest dla nich jedynym drogoskazem.“

Bohaterki p. Marrenowej stoją daleko wyżej pod względem charakterów, jedynem ich prawem, celem życia, jest wprawdzie tylko miłość, ale umieją przynajmniej walczyć za swe uczucia, potrafią druzgotać spotykane przeszkody i zdążać do mety.

Typ kobiecy powtarza się jednak wciąż w utworach tej autorki, nie ma w nich żony, matki, obywatelki. To samo można powiedzieć o mężczyznach. Pani Marrenowa nie zna męża, ojca, ofiarnika. Poświęcenie, rezygnacya, ideały społeczne, naukowe i artystyczne, wszystko to zgina się przed jedynym, według niej, panem świata, przed s a m o l u b s t w e m p o ż ą d a j ą c e g o s e r c a.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SIOSTRZENICE MAZARINIEGO

przez

KLARĘ REICHER.

W połowie XVII stulecia rządził Francyą, a po części i innemi europejskiemi państwami człowiek, którego rodzinne i prywatne życie równało się romansowi; był to sławny następca potężnego kardynała i ministra Richelieu, Juliusz Mazarini, albo Mazarin. Któż byłby przy kołysce skromnemu potomkowi sycylijskiej rodziny przepowiedział rolę, jaką kiedyś odegra w Europie! Był on właściwym królem francuzkim i na przekor wszelkim zawiściom potrafił wznieść się do szczytu najwyższej potęgi i sławy.

Giulio Mazarini, urodzony 1602 roku w Piscinie w Abruzach, studyował prawo, ażeby zostać adwokatem. Ponieważ uczył się dobrze i miał zamiar zaślubić córkę znanego notaryusza, zdawało się, iż żadna przeszkoda nie stanie mu na drodze do zrobienia świetnej karyery prawniczej. Opatrzność jednak zrządziła inaczej. W r. 1622 młody Mazarin rzucił się w wir wojny. Wstąpił do armii papiezkiej i r. 1625 mianowano go kapitanem. W tym stopniu wysłany został w misyi dyplomatycznej do wyższych Włoch, i z wielką zręcznością zawarł pokój w Cherasco pomiędzy Francyą a Hiszpanią. Gdy 1632 przybył do Paryża, jako papiezki poseł, pozostał tu stale, z namowy Richelieu'go wszedł w służbę francuzką, postępował szybko po szczeblach godności i sławy, wreszcie umierający możnowładzca wskazał go jako najgodniejszego po sobie następcę. Mimo to ambitny Mazarin musiał walczyć z licznemi przeszkodami, nim doszedł do celu. Jako pierwszy minister podczas małoletności Ludwika XIV kierował losami Francyi. W życiu tem pełnem świetności i blasku niemałą rolę odgrywała jego familia, t. j. siostrzeńce, a przedewszystkiem siostrzenice, sławne z urody i romantycznych życia kolei.

Skoro tylko ów niegdyś małoznaczący Włoch postąpił na godność ministra, całą rodzinę swą przywołał do dzielenia swej wielkości i władzy. Były to dzieci dwóch jego sióstr, M a n c i n i i M a r t i n o z z i, siedm siostrzenic i trzech siostrzeńców, którymi, jak ojciec — oczywiście na swój sposób — opiekował się i pokierował. O siostrzeńcach nie wiele da się powiedzieć — gdyż jeden tylko z nich, Filip, mianowany księciem przez wuja, dosięgnął mężkiego wieku.

Za to los siedmiu siostrzenic nader ciekawie i awanturniczo-romantycznie się ukształtował. Pierwszą z owych Włoszek, którą potężny wuj wprowadził w nową ojczyznę, ażeby ją „uszczęśliwić,“ była L a u r a M a n c i n i; ona również jedyna z sióstr czuła się rzeczywiście szczęśliwą, acz szczęście to trwało niedługo. Mazarin, mogąc wybierać pomiędzy wszystkimi kawalerami dworu, starał się świetnie siostrzenice swoje powydawać za mąż. Dla Laury zatem przeznaczył młodego, pięknego, lecz strasznie lekkomyślnego księcia Candale, wszakże — ku wielkiemu zadowoleniu narzeczonej — oblubieniec zmarł przed weselem i Laura Mancini została księżną Mercoeur, zaślubiając syna księcia Vendome, potomka Henryka IV. Małżeństwo było bardzo szczęśliwe aż do urodzenia trzeciego dziecięcia, przy którem Laura Mancini z uśmiechem na ustach umarła. Pogrążony w smutku młody wdowiec, pięknej swej i cnotliwej zmarłej żonie okazał cześć i wierność najwybitniejszą, wstępując do klasztoru; później został kardynałem i legatem papiezkim w Paryżu; syn ich najstarszy był owym „Wielkim Vendome“, walecznym generałem Ludwika XIV, sławnym dowódzcą, a osławionym człowiekiem.

Drugą siostrzenicą Mazariniego, której wujaszek dopomógł do zrobienia „dobrej partyi“, była milutka, szesnastoletnia A n n a M a r y a M a r t i n o z z i, sławna z prześliczcych włosów. Piękna, dobra i wierna, jak jej kuzynka, osięgła wyższą godność i tytuł, ale nie była równie szczęśliwą w domowem pożyciu jak tamta — gdyż jej małżonek, książę Conti, ożenił się z nią tylko — sam wyznał otwarcie — żeby wpływ Mazariniego pozyskać, w gruncie zaś było mu obojętnem, którą z jego siostrzenic poślubi.

Mimo wysokiego stanowiska nie był to bynajmniej człowiek, któregoby młoda i piękna kobieta pokochać mogła. Twarz miał wprawdzie dość ładną, lecz postać małą i niekształtną; nadto prócz złych obyczajów, odznaczał się straszną, a bezpodstawną zazdrością, jakkolwiek bowiem żona nie kochała go wcale, była przecież za dumną, ażeby go oszukiwać. Duma ta ujawniła się nawet w stosunku do króla, którego nadskakiwanie i zaloty odrzuciła w taki sposób, iż Mazarin zażądał, aby go przeprosiła. Zjednało jej to w końcu szacunek i przychylność małżonka. Przedwcześnie postarzały małżonek uroczej Anny Martinozzi,

przeniosł się później do Bordeaux, gdzie skrucha jego przewyższyła występki. Zmarł 1666 r., a żona przeżyła go o lat sześć — apopleksya przerwała wątek jej dni pobożnych. Zwano ją powszechnie „matką kościoła.“ Najstarszy ich syn był to ów waleczny, roztropny, powszechnie lubiony Kondeusz, którego ubóstwiano w armii, i którego partya francuzka w Polsce na tron wynieść pragnęła.

Trzecią siostrzenicą Mazariniego była młodsza siostra księżnej Conti, Laura Martinozzi. Przeżywszy lat dwa we Francyi, w szesnastej wiośnie życia poślubiła Alfonsa, księcia Modeny. który, nie widząc jej nigdy przedtem, chciał jedynie skoligować się z ambitnym i możnym kardynałem. Mimo to nie czuła się wcale nieszczęśliwą, gdyż małżonek jej był zacnym człowiekiem; zmarł młodo w 28 roku życia 1662. Laura Martinozzi została regentką syna Franciszka i sprawowała za niego rządy, póki nie doszedł lat 14, zawsze wiernie z Francyą złączona. — Córka jej, Marya Beatrycza, zaślubiła ostatniego Stuarta, jaki zasiadł na tronie angielskim, króla Jakóba II. Księżnę Modeny przedstawiają, jako staranną, lecz nader surową matkę, chcąc bowiem dzieciom dać jak najlepsze wychowanie, często uciekała się do rózgi, używając jej własnoręcznie. Nieszczęśliwa królowa angielska (Jakób II 1688 został z Anglii wygnany) często w cierpieniu przypominała sobie surowy sposób wychowania swej matki z wdzięcznością i uznaniem, znosząc z tąż cierpliwością los swój, z jaką niegdyś znosiła rzekomo zbawienne plagi. Laura Martinozzi zmarła w Rzymie, sławiona z powagi i pobożności.

Cztery następne siostrzenice Mazariniego nie zostawiły podobnej wspomnianym wyżej pamięci, jakkolwiek dzieje ich obfite są w niezwykłe przygody i stąd interesujące.

Po Laurze Martinozzi wystąpiła, jako kandydatka do małżeństwa, szesnastoletnia Olimpia Mancini. Wychowana pod okiem królowej-matki, Anny Austryackiej, i wuja ministra, choć mniej piękna od sióstr zamężnych, zawładnęła sercem króla Ludwika XIV do tego stopnia, iż czas jakiś miała widoki osiąść na tronie, ku niemałemu zgorszeniu dostojnej swej opiekunki, a radości Mazariniego. Młoda para nieustannie przebywała razem — w każdym balecie, gdzie król przedstawiał bożka, Olimpia miała rolę nimfy, w której bożek był zakochany. Gdy wreszcie hołdy te stawały się coraz głośniejsze z uszczerbkiem sławy młodej dziewczyny, ambitny Mazarin wydał ją za Eugeniusza de Carignan, hrabiego Soissons, z domu sabaudzkiego, co nie przeszkadzało jej bynajmniej z zawiścią patrzeć na królowę i prześladować królewskie faworyty, których upadek, jako też odzyskanie serca chwiejnego monarchy stało się głównem zadaniem jej życia.

Nadto otaczała się liczną rzeszą wielbicieli, których oszukiwała, nawzajem oszukiwana — prowadziła świetny dwór, nie troszcząc się o narzuconego sobie małżonka, jak i on o nią się nie troszczył.

W ten sposób hrabina Soissons żyła do śmierci Mazariniego, ale skoro przestała ją wspierać można dłoń potężnego ministra, postępowanie jej zaczęło nużyć króla, który też wspólnie z ministrem Louvois obmyślał środki, aby ją od dworu usunąć.

W tym celu wyzyskano jednę z jej niezliczonych niedorzeczności. Gdy pewnego razu udała się z przyjaciołką swoją — jak wiele dam owego czasu — do sławnej wróżki i trucicielki Voisin (z powodu licznych zbrodni straconej później) oskarżono ją o stosunki z osławioną morderczynią, przyrządzającą straszny „sukcesyjny proszek,“ którym panie z wyższej sfery usuwały z drogi niepotrzebne im osobistości. Olimpia Mancini, zagrożona i przerażona, opuściła tajemnie swój pałac i uciekła do Flandryi.

Wszelako tem się nie zadowolono; ażeby powrót jej uniemożebnić, prześladowano ją przez długie lata. Nigdzie nie znalazła spokoju. Gdziekolwiek się schroniła, podburzone przez ministra Louvois tłumy obsypywały ją szyderstwem; w fortecach zamykano przed nią bramy, w kościele nawet znieważano i grożono śmiercią „trucicielce,“ a gdy schroniła się w mury klasztorne, śpiewano brudne pieśni „na jej cześć.“ Skoro ktoś znaczniejszy umarł nagle w okolicy, gdzie przebywała, podejrzywano ją, lub udawano, że ją podejrzywają, i wówczas pozostawała jej jedynie jak najspieszniejsza ucieczka. W końcu osiadła w Brukseli, gdzie prowadziła dom na wielką stopę i dawała świetne bale. Zmarła 9 października 1708. Miała ośmioro dzieci, o które wcale nie dbała i które wychowywały się w Paryżu. Jeden z jej synów bezwiednie pomścił matkę na dworze francuzkim, z którym nigdy się nie pojednała. Był to ów sławny książę sabaudzki „Eugeniusz,“ który wyśmiany przez Ludwika XIV i Louvois'a, iż ułomny i upośledzony od natury żądał kapitańskiego patentu, wstąpił do austryackiej armii i tam, jako podziwiany bohater i najznakomitszy wojownik swego stulecia, pozyskał nieśmiertelną sławę, przyczyniwszy się do upokorzenia niezwyciężonego dotąd króla Ludwika XIV.

(Dokończenie nastąpi.)

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszntski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 1, 2, 3, 5 i 6.)

Jeżeli czas niezbędny do strawienia pokarmu, w dostatecznej ilości przyjętego, nie upłynął jeszcze, a przebudzone niemowlę płakać, lub krzyczeć poczyna, natenczas powinna troskliwa matka odszukać i usunąć przyczynę owego niezadowolenia i niepokoju. „L'enfant crie, comme nous parlons“. mówi Caseau. Niemowlęta krzyczą i płaczą:

a) gdy je za szczelnie powinięto,
b) gdy im jest za ciepło, lub za zimno,
c) gdy u nich zmiana podkładek, lub bielizny konieczną się stała,
d) gdy delikatna ich skóra w jakibądź sposób jest drażnioną,
e) gdy się pojawiły boleści, spowodowane zbyt częstem, lub niestosownem karmieniem,
f) gdy im dokucza pragnienie.

Ostatni powód nie bywa w przeważnej ilości wypadków dostatecznie uwzględnionym.

Nie godzimy się na to, aby krzyk dziecka miał być najczęściej „objawem jego bytu,“ aby miał mu sprawiać „pewnego rodzaju przyjemność“*) i aby dzieci bez wszelkiej przyczyny krzyczeć miały.

Jeśli troskliwa matka ściśle śledzić zechce, znajdzie z pewnością powód gniewu, lub niezadowolenia, a usunąwszy tenże, ukoić zdoła swe dziecię.

Za objaw głodu natenczas dopiero uznać winna krzyk niemowlęcia, gdy ono, po upływie niezbędnego czasu na strawienie ostatnią razą przyjętego pokarmu — dobrowolne ruchy ssania wykonywać pocznie, gdy odszukać piersi usiłuje, gdy chwyta chciwie wszystko, co mu do ust się zbliża, lub też gdy własne ssać pocznie paluszki.

Skoro zaś tylko jedynie o ugaszenie pragnienia chodzi, które niemowlęta tak samo, jak i ludzi starszych, w ogóle dręczyć może, zwłaszcza, gdy pokarm matki, lub żywicielki bardzo jest żyznym — natenczas polecić możemy i to tak dla dzieci piersią matki, lub żywicielki karmionych, jako i dla sztucznie żywionych — użycie na ten cel nalewu czarnej, chińskiej, lub t. n. rosyjskiej herbaty (Thea chinensis Sim.)

---

*) Dr. L. Weitzenbluth op. cit. Strona 90.

Herbata czarna, świeżo sparzona, koloru lekkiego wina węgierskiego, dostatecznie osłodzona, ciepłotę mleka matki (około 28° Réaumura) posiadająca, łyżeczką, lub z buteleczki podana, zgasi niemowlęciu pragnienie, ukoi je na długo, a nawet posłuży mu za bodziec do trawienia. Nawet i przy pewnym nieładzie w narządach trawienia — co w pierwszych zwłaszcza tygodniach życia niemowlęcia tak często się zdarza — herbata ta skuteczniejszą jest od całego szeregu innych nalewów rumianku, mięty, kopru włoskiego i t. p., i bez wątpienia dokładniej wywiąże się z zadania, od wody ocukrzonej, lub wody ryżowej, także w podobnych celach używanych. — Już od wielu lat polecają herbatę czarną słynni lekarze dzieci, jak: Wertheimber, Soltmann, Wiederhofer i inni, jako wyśmienity środek, gdy chodzi o zgaszenie pragnienia, lub ukojenie womit przy cierpieniach przewodu pokarmowego się pojawiających. I nam herbata, tak zdrowym a tylko spragnionym, lub też pomocy lekarskiej potrzebującym dzieciom zadawana — nigdy nie uczyniła zawodu.

Wspomniane powyżej trzymanie się pewnych czasu odstępów przy karmieniu, nie powinno sięgać aż do matematycznych dokładności. Jeżeli w pierwszych tygodniach zwłaszcza słabsze niemowlęta wypadało nam ze snu rozbudzić, aby ssały — to u dzieci silniejszych i w ogóle w czasach późniejszych — postępowanie takie uważamy za zbyteczne. Im to możemy bez obawy pozwolić spać tak długo, jak zechcą. Głód, lub pragnienie będzie tu najlepszym budzicielem.

Karmienie w nocy odbywać się powinno jak najrzadziej; za zasadę zaś służyć ma przeważnie matkom, które są wątłej budowy ciała i nie bardzo silnego zdrowia. Sen spokojny nietylko dla matki, lecz i dla niemowlęcia wielkiej bardzo jest wagi. — To też tak matki, jak i żywicielki przynajmniej przez sześć godzin bez przerwy spać powinny, aby pokarm ich odpowiednie uzyskać mógł własności.

Gdy zdrowe i silne dzieci w nocy krzyczą i pomimo całej stanowczości matek — aby trzymać się powyższej zasady, do nakarmienia ich je zniewalają — natenczas wypada, zwłaszcza matkom słabszej konstytucyi — zastąpić tu pokarm swój osłodzoną herbatą czarną, czystą, lub z małym dodatkiem mleka krowiego.

Słynny lekarz dzieci w Berlinie Dr. A. Baginsky*) radzi matkom, aby po raz ostatni wieczorem, około godziny jedenastej, nakarmiły swe dzieci, które aż do godziny szóstej rano spokojnie wytrwać mają. Silna wola i rozsądna miłość matki mają tu wystąpić na korzyść dziecka, które w nocy karmione, łatwo szkodę stąd ponieść może. Tak matka, jak i dziecko potrzebuje w nocy spokoju — a ten sposób wychowania w pierwszych zaraz dniach przeprowadzić wypada. — Niepokój dzieci w nocy nader rzadko tylko powoduje sam głód wyłącznie. Zamiast pokarmu, radzi krzykliwym dzieciom podać łyżeczkę zimnej wody.

„Ten sposób może wyda się barbarzyńskim; on nim nie jest wcale, bo na dobre tak dla dziecka, jako i dla matki wychodzi. Trzeba go tylko doświadczyć — a przekonamy się, że malec uparty przy takim sposobie kategorycznym obchodzenia się z niem — uspokoi się, a gdy pozna, o co chodzi, cicho w następnych nocach się zachowa.“

Nie godzimy się na ten sposób uspakajania niemowląt, które, gdy spragnione — herbatą czarną szybko ukoić się dadzą. —

*) Dr. Adolf Baginsky. Wohl und Leid des Kindes. Berlin 1876. Strona 76.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości miejscowe.

W przeszły poniedziałek miał na sali pałacu Działyńskich pan Dr. H o l t z e r odczyt „O przewodniej myśli w Kordyanie Słowackiego.“ — Odczytawszy kilka wyjątków z „Listów do matki“ Juliusza, które rzucają światło na powstanie tego pierwotnie bezimiennego utworu, podał prelegent następnie w skróceniu treść „Kordyana“ i przystąpił do rozbioru wstępu, prologu i kolejno wszystkich trzech aktów owej p i e r w s z e j części „trylogii“, jak sam autor nazwał swoj poemat. — Dłużej zatrzymał się p Dr. H. przy wstępie do „Kordyana“, tak zwanem „Przygotowaniu“, wyjaśniając „stworzonych“ przez szatana „ludzi do rządu“: Chłopickiego, Czartoryskiego, Niemcewicza, Lelewela i Krukowieckiego. — Wiadomo, jak surową naganę prof. Małeckiego ściągnął na siebie poeta za „ryczałtową kondemnatę, rzuconą na ludzi, lekkomyślnie na jednej zestawionych linii“, za wystawienie w nich istot „z piekieł przysłanych na zatratę narodu“ — prelegent broni Słowackiego argumentem, że takie było wówczas ogólne zdanie o powstaniu listopadowem.... Wyjaśniwszy akt I, jako parafrazę dramatyczną „Godziny myśli“ i akt II, którego bohater okazuje się „filozofem-marzycielem“ — obszerniejszy rozbiór poświęca prelegent aktowi III, na którym — jak się wyraża — polega punkt ciężkości poematu. Odwołując się niejednokrotnie do prof. Małeckiego, nie zgadza się p Dr. H. ze znakomitym biografem-krytykiem, jakoby d w a p i e r w s z e akty „Kordyana“ były niepotrzebne, gdyż wyjaśniają one niejedno, co bez nich pozostałoby ciemną zagadką dla nas w akcie ostatnim.

W końcu porównuje prelegent „Kordyana“ z „Dziejami Wacława“ G a r c z y ń s k i e g o i z „Dziadami“ M i c k i e w i c z a, przyznając Konradowi pierwszeństwo i wyższość nad pokrewnymi mu bohaterami.

Wykazawszy — o ile na to ograniczony czas prelekcyi pozwolił — główne zalety i wady poematu Słowackiego, zakończył mówca słusznem twierdzeniem, iż trudną bardzo jest ocena „Kordyana“, jako wyjątku z niedokończonej całości.

P. Dr. H. opracował rzecz trudną sumiennie i nader starannie — żałowaliśmy tylko, że mu miejscami głos nie dopisywał, w skutek czego nieobeznani dokładnie z przedmiotem słuchacze (nieznaczne wyjątki tylko) — znużeni nadsłuchiwaniem... wpadli w zdradzieckie sidełka motylich skrzydeł nieśmiertelnego boga snu i pięknych marzeń....

Rozwiązanie logogryfu w nr. 5 „Domu polskiego“.

1. Panegiryk. — 2. Iseo. — 3. Ogrójec. — 4. Traganth. — 5. Rachela. — 6. Sedan. — 7. Kowno. — 8. Andlaw. — 9. Romulus. — 10. Garnek. — 11. Antoni.

Piotr Skarga. — Kochanowski.

Dobre rozwiązanie nadesłali: p. T. Zielińska z Lublińca na Górnym Śląsku, p. Józef Bulczyński z Pobiedzisk; — pp. Stefania Chrzanowska i Zofia Rutkowska z Poznania.

LISTKI.

Autorowi wiersza: „O! matko-Polko“: Zamieścimy, ale upraszamy o wyraźniejszą pierwszą literę nazwiska; nie wiemy, czy to **S.** lub **C?**

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu, — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika Poznańskiego.